

Janusz Ramotowski

część I z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **29.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,
część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Ramotowski: Urodziłem się 28 lipca 1950 roku. To był piątek o godzinie 9.15. Odbierała poród jakaś ra-dzieńska akuszerka o imieniu Wiera. Nazwiska niestety nie rozszyfrowałem. Urodziłem się w Janczewie. To jest pół-nocno-wschodnie Mazowsze. Teraz nazywane Podlasiem, ale jest to totalna bzdura. Jest to północno-wschodnie Mazowsze. Miasteczko, koło którego się urodziłem, miasteczko, w którym byłem chrzczony to jest Jedwabne, słynne skądinąd z innych wydarzeń też. Mieszkalem w Janczewie tak krótko, że nawet tego Janczewa nie pamiętam. Ja się urodziłem 28 lipca 1950 roku, natomiast w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia 1951 roku mój ojciec zaczął się ukrywać. Rezultatem tego była konieczność rozsiadlenia rodziny, ponieważ moja mama została w zasadzie bez środków do życia. Pomagała jej rodzina, rodzina taty, ale po prostu wszyscy razem nie mogliśmy być, w związku z tym ja zostałem oddany na wychowanie do mojej ciotki, siostry mojej mamy w Rawie Mazowieckiej. Natomiast moja siostra Grażyna – zajęta się nią pani, która kiedyś prowadziła przy Obwodzie łomżyńskim Armii Krajowej, prowadziła grupę sanitarną. Tam się chyba ładnie batalion nazywało, ale nie przesadzajmy, był to zespół sanitarny. No i ona wzięła Grażynę. Tak że moje dzieciństwo w zasadzie to jest Rawa Mazowiecka. Ja tamtych stron nie znałem, pozna-łem je dużo później już szukając... Podobnie jak historię rodziny. Rodzina jest stara, bardzo stara, bo niedawno było 600-lecie tejże rodziny. Tak jak wszyscy, tam drobna szlachta z tamtego rejonu. Z tym, że ta tradycja drobnoszlachecka zanikła zupełnie. Mój ojciec miał jeszcze metrykę urodzenia, pochodzenie społeczne „szlachcic”. Ale to była biedota, w większości byli to ludzie biedni. To nie przetrwało. No i to tyle o historii rodziny. W każdym razie przez te 600 lat, tam żeśmy się rodzili, tam żeśmy umierali. Ja jestem pierwszym pokoleniem, które jeszcze tam się urodziło, a wyemigrowało. No mój ojciec też zresztą tam się urodził, a zmarł tutaj w Otwocku. A tak, no to byliśmy cały czas tam, z tym wszystkim, co tam było złe i dobre. Ojciec był nauczycielem, on... W ramach jakichś tam, no powiedzieć...

działów rodzinnych, zabezpieczania rodziny, został skierowany na tego uczonego, czyli poszedł do szkół, no i skończył seminarium nauczycielskie przed wojną. Został nauczycielem, tak jak to wtedy było, nauczyciele byli kierowani w różne miejsca niejako z przymusu, nie było miejsca wyboru pracy. Stąd rozpoczął swoją pracę na Kurpiach w miejscowości Grale. Później wrócił do Janczewa, bo tak się nazywała ta nasza wieś, powiedzmy, rodzinna, w której urodził się ojciec, urodziłem się ja. Poznał mamę. Mama miała małą maturę i robiła jakieś kursy krawieckie, miała uczyć krawiectwa. I ją tam jakoś wysłali do tego Jedwabnego i tam poznała ojca. Była między nimi różnica wieku, bo mój tata to jest 1909 rok, mama 1920. No ale widocznie coś zaiskrzyło, skoro ten ślub wzięli. Wzięli ten ślub w Rawie Mazowieckiej, to był 20 sierpnia 1939 roku, więc tuż przed wojną. Diabli nadali, zdążyli wrócić. Zdążyli wrócić tam do nas, co miało wszelkie konsekwencje w naszym życiu. No bo najpierw to powiedzmy weszli Niemcy, oni uciekali przed tymi Niemcami na wschód, cofnęli się z powrotem, bo tam już byli Białorusini i wyglądało to kiepsko. Ojciec dosyć szybko wstąpił do jeszcze chyba w Służbie Zwycięstwu Polsce. Chyba tak, jeszcze Służbie Zwycięstwu Polsce. No i później to się przekształciło w ZWZ, Armię Krajową. No i on tam w tej Armii Krajowej był ciągle. Prowadził wywiad na rejon, czyli to były trzy gminy, prawda. Prowadził wywiad na ten rejon. Szło mu tam jak szło, ja nie jestem w stanie oceniać ich działalności do końca. W każdym bądź razie w którymś momencie ojciec został namierzony przez Gestapo. No i to było... Chyba 2 lipiec, w każdym razie chyba w lipcu 1944 roku został aresztowany przez żandarmerię, a później w jakiejś takiej olbrzymiej obstawie wywieziony do Łomży. Dowódca, inspektor inspektoratu łomżyńskiego i grajeckiego, wtedy jeszcze kapitan... Już nie, już major – major Bruzda próbował zorganizować odbicie, które skończyło się fatalnie, bo mieli straty po swojej stronie, a ojca tamtędy nie wieziono. Druga zasadzka była zrobiona na szosie bezpośrednio Jedwabne – Łomża, jest taka wieś Jezioro, przed tym Jeziorkiem jest taki duży las, No i tam z kolei szef Kedywu na obwód łomżyński. „Ryba”, on wtedy chyba był porucznikiem już, zorganizował drugą próbę odbicia. Nie podjęli walki, ponieważ to były trzy ciężarówki Ukraińców, którzy zostali spieszeni przed miejscem zasadzki, no i podjęcie walki było po prostu niemożliwe, bez sensu. W efekcie ojciec znalazł się w więzieniu w Łomży, a później z uwagi też na postęp ofensywy radzieckiej został wywieziony do obozu koncentracyjnego. No jednego z tych lepszych w Polsce, no bo do Gross-Rosen. Z tym, że Gross-Rosen był to obóz przejściowy, z tego Gross-Rosen rozsyłano do filii. Ci, którzy nie mieli szczęścia, to trafiali w góry Sowie. Tam okres życia był mniej więcej 6 miesięcy. Dłużej się nie dało. Natomiast ojciec miał szczęście, bo został wysłany do budowanego, już istniejącego, ale ciągle w trakcie budowy obozu, który się nazywał Halbau, to jest obecnie koło Łłowy, Łłowa. I to był świeży obóz, który miał zapewnić zaplecze robotników do fabryki śmigieł, która tam istniała. Więc warunki były, powiedzmy bardziej godziwe. Pierwsza rzecz, nie było krematorium na przykład. Nie było krematorium. Ta filia istniała rok czasu, może trochę dłużej niż rok czasu. Zginęło, straciło życie 74 więźniów. Co jak na obozy koncentracyjne na powiedzmy ponad 1000 więźniów, którzy tam byli, to ta statystyka nie była taka najgorsza. Więc ojciec sam znalazł się w tym Halbau. Na szczęście dla niego w którymś momencie został ranny, no skaleczony w kostkę. Ta rana się zaogniła, zrobiło się z tego stan zapalny. No i jak Niemcy podjęli decyzję o ewakuacji obozu, to około 100 ludzi odmówiło pójścia w tę ewakuację, wiedząc, że nigdzie nie dojdą po prostu, nie są w stanie. Wśród tej około setki był mój ojciec. No i udało im się, zostali wyzwoleni przez Armię Radziecką. No i tam z różnymi przygodami wrócił do siebie, do Janczewa, do Jedwabnego. Wtedy skontaktował się z nim łącznik od majora Bruzdy, że Podziemie trwa dalej, walka się kontynuuje. W związku z tym on, jakby powiedzieć, powinien brać w niej udział. Ojciec to zrobił, został, to był okres Armii Krajowej, później po rozwiązaniu Armii Krajowej, przez moment to była ta AKO, czyli... Nie, OAK, Obywatelska Armia Krajowa, którą założył Mściśław, pułkownik Liniarski z Białegostoku. No a później na bazie tego wszyst-

kiego powstał WiN, Wolność i Niezawisłość. No i w tym WiN-ie ojciec doszedł do funkcji zastępcy dowódcy obwodu łomżyńskiego WiN-u. W 1947 roku się ujawnił, tak jak był rozkaz. Przy tym wszystkim oczywiście istniała moja mama, która jakby dzieliła losy ojca, czyli była łączniczką, czyli na przykład przenosiła broń do Łomży, jak major Bruzda uciekał z więzienia w Łomży. No robiła to wszystko, co do tej łączniczki należało. Dorobiła się stopnia kaprała, Brązowego Krzyża Zasługi z Mieczami. I w tym 1947 roku ujawniła się podobnie jak ojciec. Wtedy zaczęli normalny kawałek życia. Ojciec dostał pracę w szkole, w liceum w Łomży jako nauczyciel języka polskiego. Mamę też zatrudniono jako nauczycielkę. No i wydawało się, że wszystko będzie dobrze. Był czas, żeby się urodziła moja siostra w 1948 roku. No i ja, żebym się urodził w 1950 roku. Z tym, że tak jak to było w tych czasach, UB zaczęło wybierać tych ludzi, a w zasadzie straszyć ich, a najczęściej straszyć, że będą więźni. I tak na przykład właśnie major „Bruzda” [Jan Tabortowski] po tym wszystkim, po ujawnieniu, przyjechał do Warszawy i naiwnie sądził, że może zostać oficerem Wojska Polskiego. On był przedwojennym oficerem, oficerem broni pancernej, no i wyobrażał sobie swoją karierę w Wojsku Polskim. Wyszło z tego oczywiście tyle, co wyszło. W którymś momencie musiał uciekać, bo istniało ryzyko aresztowania. Komendant Obwodu łomżyńskiego AK „Lipiec” [Stanisław Cieślowski] wrócił z „białych niedźwiedzi”, Może niedźwiedzi za daleko, w każdym razie był aresztowany, wzięto ich w czasie Akcji Burza. Rosjanie to jego zgrupowanie otoczyli, wygarnęli tych wszystkich ludzi. No i też próbował żyć normalnie, cywilnie. Z tego też nic nie wyszło. Przyjechał do Warszawy, do „Bruzdy”. No i razem uciekli, gdzie mieli uciekać. Uciekli z powrotem tam, gdzie działali. No i mój ojciec też ileś razy był straszony przez jakiś tam funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, że już go będą aresztować. No i to on też ucieka, on się schowa. Moja mama mówiła, mądra to była kobieta, Nie uciekaj, wezmą cię. Tyle lat na ciebie czekałam, posadzą cię, posiedzisz, to ja poczekam jeszcze. Wyjdiesz i będzie święty spokój. Ale nie, tata postanowił uciekać, postanowił się chować. No i zaczął się chować, nawiązał kontakt z „Bruzdą”, nawiązał kontakt z „Lipcem”. Trochę tam się ukrywali na Biebrzy, na bagnach biebrzańskich. Najczęściej chowali się po wsiach, gdzie tam ludzie nie mieli już obowiązku, ale ludzie, z którymi byli związani mieli w dalszym ciągu pokopane te kryjówki. No i tam ich jakoś chowali. W przypadku mojego ojca i „Lipca” trwało to do sierpnia 1952 roku, kiedy to Urząd Bezpieczeństwa dostał informację o miejscu, w którym oni zaczęli się ukrywać. Tam byli raptem chyba jedną noc w tym nowym miejscu. Różnie tam pisze o tym ojciec, różnie mówią miejscowi, natomiast ja przejrzałem, jest takie w IPN-ie dossier, sprawa operacyjna „Biebrza”, no i tam ten element też jest wyjaśniony, prawda. Wypadki mojego ojca. Na dosyć, że te zabudowania zostały otoczone, doszło do strzelaniny. Niestety zginęli cywile, cywilni ludzie, a skończyło się tym, że zginął „Lipiec”, a ojciec był ranny w nogę, no i się poddał. Najpierw chciał sobie strzelić w głowę, ale wyobraził sobie swoją córkę, swoją siostrę, jak krzyczy tatusiu, tatusiu, co tatuś robi? Więc on tą broń odrzucił, no i się poddał. Jak się okazuje, dobrze zrobił, bo jeszcze pożył długo. Czy szczęśliwie, to nie wiadomo, no ale pożył długo. Ja się chowałem w Rawie Mazowieckiej u ciotki. O ojcu słyszałem tyle, co słyszałem. Już w tamtym przedszkolu w Rawie Mazowieckiej tłukłem się z jakimś tam chłopakiem, żeśmy jak te koty, żeśmy się darli, bo on powiedział, że mój ojciec był złodziejem, bo siedzi w więzieniu. Tam było jakieś takie ostre starcie. I takie pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, jakie mam z Rawy Mazowieckiej, to byli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, którzy przyjeżdżali systematycznie tam do nas. Mama już wtedy też tam była i pytali się, mnie brali na kolanka, cukierki mi dawali, a cukierek to była łasa rzecz dla mnie. Pytali się, czy tutaj nie było takiego wujka z rudą głową. „Bruzda” był rudy. I ja słyszałem, że to są źli ludzie, nie wolno z nimi rozmawiać. Z drugiej strony to cukiereczki, kurczę, no. Wujka z rudą głową nie było, ale cukiereczki dostawałem w dalszym ciągu. W awansie, że kiedyś może... [śmiech]. No i przełamałem ten dylemat, który tkwił we mnie. To musiał być rok, myślę,

1954. Po prostu zsunąłem się z kolan, poszedłem, spuściłem z łańcucha taką sukę, Azę, No i poszczułem tych UB-owców tą suką. Poszła na nich pięknie, mieli takie, no wtedy jak większość ludzi, wysokie buty oficerki, skakali przez płot jak komandos, a ona po tych cholewach ich cieła. I to było takie pierwsze wspomnienie, no i tyle, prawda. Znaczą oni tam w dalszym ciągu przychodzili, ale już nie byłem taki przyjaciel dla nich już. Cukierki się skończyły, etc.

Artur Kłus: Ojca aresztowano w 1951?

Janusz Ramotowski: W 1952. Natomiast na wolności, no „Lipiec” zginął, natomiast na wolności, z tych tam znaczących ludzi pozostał major „Bruzda”. No i dołączył do niego ten szef Kedywu, „Ryba”, porucznik „Ryba” [Stanisław Marchewka], który wyniósł się do Łodzi, ale tam go też wypatrzyli i zaproponowali mu, żeby znalazł „Bruzdę” i żeby oddał im „Bruzdę”. To była cena jego wolności i życia w zasadzie. Wrócił w tamte strony, z „Bruzdą” się skontaktował, tylko po prostu poszedł do lasu, jeżeli o lesie możemy w tamtych czasach mówić. I zaczął działać, ukrywać się, działać łącznie razem z „Bruzdą”. I oni działali do 1954 roku, też nie pamiętam miesiąca, W 1954 roku jest taka gmina, miejscowość Przytuły. To była akcja zaopatrzeniowa, typowa akcja zaopatrzeniowa tak naprawdę, niezależnie od bohaterstwa, które jest opisywane w tej chwili. Oni poszli na te Przytuły, ponieważ w spółdzielni produkcyjnej, spółdzielnia, sklep to się nazywało, GS-u czy jakoś inaczej, wiedzieli, że są pieniądze, że jest towar, natomiast klucze do tego sklepu były na posterunku milicji. „Bruzda” wszedł na ten posterunek milicji, żeby te klucze wydobyć. Któryś z tych milicjantów, no wszedł z bronią w rękę, któryś z tych milicjantów próbował, chwycił go za lufę tej broni, no i próbował mu tam tą broń, no nie wiem, wyrywać. No i on oddał serię, zaczął strzelać i prawdopodobnie, prawie że na 100%, został ranny od własnego rykoszetu, bo strzelał w pomieszczeniu zamkniętym. Dostał w płuca. W efekcie, tak jak była między nimi umowa, „Ryba” go dostrzelił. No i „Ryba” ukrywał się w dalszym ciągu. Nas tam już nie było, nie było mamy, nie było nic, ale jeszcze wcześniej jak mama tam była, „Ryba” nieraz spotykał mamę i mówił „pani Janino, pani mąż z tego nie wyjdzie, ale pani się nie martwi, my wygramy, my przyszłość pani dzieci zabezpieczymy”. Tak że kariera była przede mną, tylko że „Ryba” zginął w 1957 roku, wreszcie go dopadli. Natomiast ja w tej Rawie. W 1956 roku wyszedł ojciec. Wyszedł po... Znaczą proces już nie był paskudny. Może śledztwo było paskudne, bo próbowano mu zarzucić dwa paragrafy na karę śmierci. Jeden no to, prowadzący śledztwo mówił „dwóch nie udowodnię, ale jeden wystarczy przecież, nie?”. Więc to śledztwo nie było przyjemne, z tym, że w sumie no nieskuteczne, ponieważ oni dowodów bezpośrednich nie byli w stanie zebrać. Natomiast w 1953 roku były ruchy w NRD. Wręcz rewolucja przecież wtedy w NRD była i to spowodowało, że nagle nasi, znaczą Urząd Bezpieczeństwa, jednostki wojskowe przestraszyły się problemu z tymi wszystkimi w Polsce siedzącymi w śledztwach. I ściągnięto do pomocy prokuratorów wojskowych, którzy z dosyć dużą łatwością zwalali te paragrafy. Jak nie było dowodu wprost, to oni te paragrafy zwalali. To spotkało mojego ojca, więc w efekcie te paragrafy na karę śmierci zniknęły. Skończyło się to procesem, „procesem kiblowym”, czyli pod celą. To jest teoria, to nie było tak, że to była cela i ktoś siedział na tym kiblu fizycznie. W każdym razie w więzieniu, w areszcie śledczym w Białymstoku, w tymże areszcie śledczym ten proces się odbywał. I ojciec dostał 7 lat w efekcie. Dostał 7 lat, natomiast no później, amnestia, 56 rok i wyszedł. Wtedy go zobaczyłem po raz pierwszy, ojca mojego, był bardzo krótko ostrzyżony i był zupełnie siwy już. Siwiuteńki, ale to szczecina była siwa. Ja włożyłem jakiś taki bagnet poniemiecki od mauzera, gdzieś tam wytropiłem w jakimś złomie. Chciałem go ojcu pokazać jako jakiś taki talizman, coś takiego. Ojciec wziął ten bagnet do ręki, popatrzył, wrzucił na kupę złomu, powiedział: „pamiętaj synu, nigdy nie bierz broni do ręki”. On swoje dostał

za tą broń w rękę. No i to było nasze pierwsze spotkanie. Później dojechała moja siostra. No i z tej Rawy ojciec szukał pracy, pracy jako nauczyciel. O tym nawet mowy nie było przecież, żeby on tę pracę dostał. W efekcie jego kolega z tamtych stron, był taki pan, się nazywał Aleksander Sokołowski, on wojnę przeszedł w oflagu. Wyjechał później tam z tych naszych terenów. I w Łławie był tam powiedzmy... On był w Inspektoracie oświaty, no ale znalazł się tam powiedzmy w tej czołówce tych władz. Ojciec do niego napisał. No i on mu znalazł pracę i to znalazł mu pracę bardzo dobrą, bo kierownika szkoły. Tu gdzie w Polsce centralnej no nie mógł dostać pracy jako nauczyciel albo w ogóle żadnej pracy, któryś tam z tych sekretarzy powiedział: „jak wam węgiel pozwolimy z wagonu wywalać to będzie dobrze”. No został tym nauczycielem, kierownikiem szkoły. Powiedzmy no szkoły, no może niewielkiej no, ale w sumie jednak czterech nauczycieli prawda no to jednak już taka sobie szkółka no i wydawało się, że to jest szczęśliwy przypadek, zbieg okoliczności. Lata minęły, mamy wolną Polskę. Nie ma już tych wszystkich ludzi, którzy byli wtedy. No i nagle się dowiedziałem, że sołtysem w tejże wsi był człowiek tutaj stąd spod Ryk, Garwolin, Ryki, który wtedy też był sołtysem i on wydał w ręce UB taki Bernacik, nie pamiętam imienia, no Major Bernacik [Marian], pseudonim „Orlik”, dowódca Obwodu puławskiego Armii Krajowej. „Orlik” zginął, a tego człowieka ewakuowano z rodziną na Ziemię Odzyskaną i został sołtysem w tej wsi, gdzie my mieszkaliśmy, gdzie my żeśmy zostali sprowadzeni. Czy to był przypadek? Tego nie wiem. On nigdy nam się źle nie zapisał, ale też nic złego ojciec nie robił, prawda? Więc to pozostało takie dziwne, niewyjaśnione do dzisiaj. Mieszkaliśmy tam, tam nam się powodziło jak to, jak to na takiej wsi, gdzie był sołtys, był nauczyciel, a nie było księdza. To władza się dzieliła między nauczyciela a sołtysa, między sołtysa a nauczyciela. Żyło nam się tam nieźle, tylko że to wieś była zabita dechami i ojciec postanowił, że to trzeba bliżej Warszawy, do Warszawy, czy jak z uwagi na szkoły. Wtedy żeśmy się przenieśli do Otwocka. No znowu tam jakiś znajomy ojca tutaj go wprowadził w te ścieżki. Na początku, powiedzmy, papiery ojca zostały skręcone, one nie wypłynęły na światło dzienne. I ojciec tutaj na początku był zupełnie spokojny, normalny człowiek. No ale w którymś momencie ściągnął sobie, znaczy pomógł koledze, synowi kolegi. Z tamtych stron, tam z tego łomżyńskiego. Niejaki Strzelczyk. Pan Strzelczyk przyjechał tutaj, ojciec znalazł mu pracę jako nauczyciel, ale pan Strzelczyk szybko doszedł do wniosku, że na nauczaniu to się nie zarobi, ale w „bezpiece” to się zarobi. No i poszedł do bezpieki, no i jako wiano przywiózł wiadomości o moim ojcu. Wtedy ojciec no zrobił się „be” no bo... Ale to już i ja dochodziłem do lat, więc ja już zacząłem też mieć swoje kłopoty i to tak się ładnie jedno z drugim spleło... Panie Januszu, czy by Pan nam powiedział tutaj do kamery imię i nazwisko, rodowe mamy i imię ojca? No mama Janina z domu Bednarek, ojciec Józef, Józef Andrzej, chociaż to drugie imię nigdy nie figurowało w papierach, mama nawet twierdziła, że to jakaś bzdura. Tym niemniej ojca dziadek nazywał się Andrzej, więc to ojciec był Józef Andrzej bez wątpienia. Jeżeli jego metryka jest prawdziwa, bo to jest następna historia. Metryka mówi, że urodził się 1 listopada 1909 roku. Z tym, że nie został sporządzony akt chrztu, bo wtedy podstawą dokumentu był akt chrztu. Akt chrztu nie został sporządzony. Dlaczego? Jeżeli nie ma aktu chrztu, to nie ma człowieka. W ten sposób ojciec uniknie armii carskiej. Kto się spodziewał, że będzie inaczej? Więc jego akt urodzenia był odtwarzany w roku 1920. I ja mam jakieś tam zastrzeżenia co do tego aktu. Pierwsze zastrzeżenie to jest imię ojca chrzestnego. Jakbym nie grzebał, jakbym nie przeszukiwał tych wszystkich Ramotowskich, a mam ich zebranych przynajmniej ze 3 tysiące albo ze 4 tysiące, nie ma takiego człowieka, który mógłby być ojcem chrzestnym mojego ojca. Więc zostało to wpisane niejako „na lipę”. Pytanie brzmi, czy też data urodzenia jest precyzyjna, prawda? Czy też nie została sporządzona przez księdza proboszcza, żeby pasowało tak przy okazji. No i tyle. No mama z domu Bednarek to była taka rodzina rzemieślnicza, rzemieślniczo-chłopska. Mój dziadek był bednarzem... Nie bednarzem – kołodziejem. Więc tam te wszystkie wozy,

te okucia do tych wozów tam, no w tym żelazie był biegły niezwykle. Co mi trochę zostało. Też tym żelazem bawię do dzisiaj. Żeby sobie tam jakiś kawałek oręza wykuć, jakąś tam kolejną szablę czy coś takiego. No i tyle, rodzina w sumie spokojna, bez właśnie jakichś tam takich olbrzymich zacięć wojenno-patriotycznych. Jedyne wspomnienie, no to było wejście ruskich do Rawy Mazowieckiej, kiedy mój wujek ubrał się odświętnie, założył długie buty, no żeby przywitać wyzwolicieli. Pierwszy żołdat, który szedł, spojrzał na te buty, mówi: „siedi sobaka”. To wujek usiadł pokornie, on mu te buty ściągnął, zarzucił na plecy i poszedł. Wujek mówi: „no i oswobodzili mnie, z butów”. [śmiech] To była spokojna rodzina w tym względzie i gdyby ojciec tam został to by nie było tego wszystkiego po prostu. Mówił Pan już, że byliście w Otwocku, tak? Jak Pan pamięta ten okres? No, Otwock pamiętam ze szkoły podstawowej. Zacząłem chodzić do szkoły podstawowej, do szkoły, w której uczył oczywiście mój ojciec. Jak pamiętam, niech mu tam ziemia lekka będzie, ale w obecnych czasach on by tygodnia nie pouczył, bo był okrutnik. Te dzieci brały po łbie nader często. Ja miałem to szczęście, nie miałem wrogów wśród moich kolegów, ponieważ ja brałem po łbie więcej niż oni. Byłem może większą ofiarą niż oni, w związku z tym mnie lubili. Byłem w tym bractwie, prawda. To była szkoła podstawowa, no i po szkole podstawowej pytanie co dalej? Oczywiście nikt się mnie nie pytał, co ja bym chciał w życiu robić. A miałem takie jakieś marzenia. Ja chciałem zostać leśniczym. Ale kto by tam się gówniarza pytał, co on chce robić? Zdałem do technikum samochodowego na Hożej. No i jakoś się widziałem tam, bo to był ten okres dłubania przy tych różnych motocyklach był dosyć intensywny. Ale no niestety, na szczęście, trudno powiedzieć, był to rok, w którym otworzono w Otwocku technikum elektroniczne, czyli technikum, które miało kształcić średnią kadrę do przyszłej elektrowni jądrowej, która miała powstać wtedy jeszcze w Bieszczadach. A ta szkoła była bardzo blisko naszego miejsca zamieszkania. W związku z tym egzaminy były później, bo dopiero otwierano. No i mnie na te egzaminy wysłano. Jakie to było proste. Po prostu nie zdać tych egzaminów. Prościej nie może być. Ale ja głupi zdałem te egzaminy, – głupi nie głupi – zdałem te egzaminy. No i zamiast do technikum samochodowego znalazłem się w technikum elektronicznym. Które było bardzo ciekawą szkołą, ponieważ ja myślałem, że ta otoczka ludzi tam z dziedziny fizyki jądrowej, tychże fizyków, inżynierów, etc. Oni przesadzili w próbie edukacji nas. My żeśmy się uczyli rzeczy, w sumie ciekawych, ale bez sensu. Jak można jakiemuś tam dzieciakowi, kazać obliczać przekrój reaktora jądrowego, zakładając, że moderatorem będzie ciężka woda, a reaktor będzie kulisty. Na jaką cholerę ja siedziałem i ja coś takiego próbowałem obliczać. Nawet nieraz mi wychodziło, ale po co? Jest to jeden z przykładów, tych przykładów było dużo, dużo więcej. Z drugiej strony to technikum było dobrze widziane przez władze, w związku z tym tam jakieś pieniądze dopływały do tego technikum. Ilość zakładów przemysłowych, które my żeśmy zwiedzili jako uczniowie tego technikum, była absolutnie niesamowita. My żeśmy jeździli wszędzie. To rozwijało w nas jakąś wyobraźnię techniczną. I wszyscy absolwenci tego technikum mają wielką wyobraźnię techniczną. To trzeba przyznać. No i jakoś tam przez to technikum jechałem. W Pana wspomnieniach jest, że z jednej strony zapisał się Pan do ZMS-u, ale też miał Pan opinię krnąbrnego ucznia. Znaczący zapisanie do ZMS-u to zostało załatwione w sposób dużo bardziej prosty. Po prostu dyrektor Buczek, nowy dyrektor, który tam przyszedł, zapisał wszystkich do ZMS-u. I święty spokój, nie? Wszyscy byli w ZMS-ie. A mówiąc prawdę, ten ZMS niósł w sobie swojego rodzaju atrakcje. Atrakcją były bez wątpienia obozy szkoleniowe, które były robione w łącku koło Płocka, które można wspominać tylko z łzą w oczach. Czego my żeśmy tam nie wyprawiali? O niektórych rzeczach nie będę opowiadał, choćby z uwagi na obecność dam tutaj. To się nie da. Ale pozwalano nam na wszystko, praktycznie na wszystko. Kiedyś zorganizowano nam nawet manewry. Przyjechało wojsko, wywaliło jakąś kupę karabinów. Każdy mógł sobie wziąć karabin, każdy mógł sobie wziąć garść ślepej amunicji i w las. Robimy manewry. Ja tam złapałem z trzech kolegów i poszliśmy na szosę

między Płockiem i Gostyninem. No i zatrzymałem autobus, wyszedłem w nocy na środek szosy, autobus jechał. Wystrzeliłem w powietrze. Spowodowało to panikę w tym autobusie potworną. Tam kierowca, to był bardzo przytomny człowiek zresztą. W sumie udało mu się zawrócić, wrócić do Płocka. No to my chodu w te krzaki no i później od razu do obozu. Te karabiny na kupę, nas to tam nigdzie nie było. I się zwała jakaś milicja. Milicji najechało się kupę z długą bronią. Okazało się, że milicja w ogóle nie wiedziała, że my robimy takie manewry, bo to władze partyjne to organizowały. W każdym razie nikomu nic złego nie zrobili. Komendant obozu mówił, że wszystko jest w porządku, wszystko jest pod kontrolą, broń jest na terenie obozu. A tu nagle w lesie słychać łup, łup. I tam się rzucili i wygarnęli jeszcze dwóch chłopaków, którzy jeszcze się włóczyli po tym lesie. Takie były te obozy. Stałem się młodym nacjonalistą. Nawet niedawno żeśmy z kolegą moim próbowali odtworzyć statystykę, jaki był sens robienia takich rzeczy. Ilu z ludzi będących na tych obozach, jednak poszło w tym kierunku, to znaczy zaczęło się liczyć, czy to w ZMS-ie, czy w partii. Po długich, długich poszukiwaniach znaleźliśmy jednego. Był to pieniądz totalnie zmarnowany, totalnie zmarnowany, ale my mieliśmy zabawę. Ja się dosyć szybko uwolniłem z pochodów pierwszomajowych, bo założyłem krawat, który nie był czerwony, ale miał jeszcze jakieś paski. Więc Buczek mnie wyrzucił z pochodu i miałem święty spokój. Wtedy też w tym okresie czasu zrobiłem, nie wiem czy to był czyn kryminalny, czy antypaństwowy, no tak trochę jedno i drugie. Otóż Otwock był nagłaśniany wiadomo, będzie defilada, manifestacja, przyczepa od traktora, na tej przyczepie dostojnicy, mikrofony, jest cała feta. No i ten odcinek, którym ten pochód maszerował, był nagłaśniany bardzo porządnymi głośnikami, których nie można było nigdzie normalnie dostać. Jeden z moich kolegów, nie będę cytował jego imienia, nazwiska, bo może by nie chciał. Mówi do mnie: „słuchaj, a ja bym takie głośniki potrzebował”. Aha, no to co? To zdejmujemy. I my żeśmy te głośniki pozdejmowali w nocy z 30 kwietnia na 1 maja, ale pozdejmowaliśmy tak, że nie było śladów, to znaczy zdejmowaliśmy głośnik z obudową, wymontowaliśmy głośnik, wieszaliśmy obudowę, wtykaliśmy kabelki i rano to wszystko wyglądało jak nowe, prawda. Tyle, że głośników nie było, więc tym razem stanąłem na przyczepie traktorowej. No i czekam co będzie. No i się zaczęło, ci tam technicy od dźwięku – nic. Jeden, dwa, trzy, nic. Nie słychać. Stukali, pukali, szarpali się, w końcu wezwali tam tych od poczty i telegrafów. Oni ruszyli trasami tego nagłośnienia, ale kable wiszą, pudła wiszą, No i pochód przeszedł w milczeniu. Czy był to czyn antypaństwowy, czy była to pomoc, bo mój koleżka potrzebował głośniki – do dzisiaj nie wiem, ale już objęta to amnestia, więc strachu nie ma. Przeszło, minęło. No a później już byłem w klasie maturalnej, no był rok 1968. Ja się na ten 1968 załapałem, jakby to powiedzieć tak leciutko, leciutko. Byłem w Warszawie, miałem jakieś starcie z jakimś tam, nie wiem, ormowcem czy z jakimś innym klientem. Kieszeń od kurtki mi urwał. Trudno, poszła kurtka na ołtarzu ojczyzny. W każdym bądź razie złapano w czasie manifestacji chłopaka z naszej szkoły, który się nazywał Turek, jak mu na imię było, już nie pamiętam. Chyba Marek, ale wszystko jedno, kolega ktoś nazywał Turek. Złapali go tak, fizycznie go złapali, fizycznie go zawieźli na komisariat, na dołek, etc. No i fizycznie ruszyła sprawa, to znaczy dyrektor postanowił Turka w klasie przedmaturalnej wywalić ze szkoły za te nieczne czyny antypaństwowe. A ja postanowiłem Turka obronić. No bo co mi będą Turka wyrzucać, jakiś tam dyrektor będzie wyrzucał mi Turka. Ale chcieli, żeby to wyrzucenie się odbyło po jakimś takim aplauzie młodzieży szkolnej, na czele oczywiście z ZMS-em. Więc przewodniczący naszego koła w Otwocku, Irek Majkowski mu było, dostał z Komitetu miejskiego rezolucję, którą miał przeczytać, a my mieliśmy tę rezolucję uchwalić. A tę rezolucję miałem okazję przeczytać wcześniej, ale przeczytałem, oddałem i w porządku. Zostało podzielone na dwie grupy, to znaczy dwie klasy najstarsze, nasze to były w sali kinowej i reszta była na sali gimnastycznej. Ja obsłużyłem salę kinową, natomiast mój koleżka salę gimnastyczną. I to nam nawet tak fajnie wyszło, bardzo śmiesznie to wyszło, bo przyjechał towarzysz sekretarz par-

tii nawet, Opowiedział nam o tych rozruchach, o tych wybrykach chuligańskich, no wszystko jak trzeba. Opowiedział i spodziewał się, że opowie, no i będzie cisza. Tymczasem ja wstałem, powiedziałem, że bardzo dziękujemy za to wystąpienie. No i podziękować można tylko w jeden sposób. [oklaski] Dziękujemy wam, towarzyszu. I on nagle zaczął pęcznieć, taki się szeroki i gruby, chyba nawet wyższy robił z tej dumy. Ale jak już napęczniał, to ja mówię, że „dziękujemy, Natomiast przed podjęciem decyzji, przed odczytaniem tej rezolucji, którą Jurek masz w kieszeni, jesteśmy ludzie praktycznie dorośli, chcielibyśmy poznać opinię drugiej strony. W związku z tym pana dyrektora poprosimy o ściągnięcie do szkoły któregoś ze strajkujących studentów. My jego wysłuchamy, tu słuchaliśmy jednej strony, tu drugiej, no i wtedy będzie nasza rezolucja”. Moi klakierzy rozrzućeni po sali zaczęli tam klaskać, krzyczeć, buczeć: „studenta, studenta!”. No i wyszło z tego nieładnie. W młodszych klasach wyszło jeszcze gorzej, bo wzięli go, wywalili za drzwi po prostu tamtego prelegenta i tyle. No za to miałem, miałem... Ja już byłem w bardzo dobrych stosunkach z panią od wychowania obywatelskiego. Kiedyś uczyła historii, znaczy historii i wychowania uczyła. Z historii byłem bardzo dobry, byłem u niej wzorowym uczniem, zaczęło się wychowanie obywatelskie i stałem się bardzo niedobrym uczniem na tym wychowaniu. Na tyle niedobrym, że praktycznie każda lekcja rozpoczynała się od tego, dzisiaj będziemy mówić o... tutaj ona wrzucała temat. Ja w związku z tym, pani profesor to ja chciałbym powiedzieć, że... „Ramotowski za drzwi”. Ja wychodziłem za drzwi. Dwie klasy dalej elektroniki uczył pan Tadeusz Rydzewski, inżynier CBJ-u. On wiedział, że ja mam wychowanie. Wiedział, że właśnie wylatuję. Wychodził z klasy, mówi: „Co? Wychowanie”. „No, wychowanie”. „Nie denerwuj się, masz papierosa, idź zapal sobie. Nie denerwuj się”. I tak przejechałem przez wychowanie obywatelskie. A ten ,68 rok to już była końcówka moich dobrych stosunków z tą damą. W każdym razie był egzamin z wychowania obywatelskiego. To była matura i to nie był egzamin pisemny, był to egzamin ustny. Pytania pochodziły z głów prowadzących egzamin, a to był dyrektor Buczek, to była pani Kukla i mój wychowawca, nauczyciel przysposobienia obronnego, pan Siennicki. No i Kukla oczywiście z radością mówi, no to wydarzenia marcowe. I sprawa była prosta, albo ja się złamię i zacznę opowiadać to co chcą usłyszeć, to tróję dostanę i z głowy, albo się nie złamię, no to nie mam matury, no i wybieraj. Kurczę, no jakoś nie potrafiłem wybrać tej opcji, że tą maturę będę miał. No i zacząłem tam sobie klekać to wszystko co w tej mojej głowie na ten temat istniało. I tenże Siennicki, ten od przysposobienia obronnego, mówi: „Dobra, dobra Janusz, stop, zatrzymujemy twój wywód. Ja nie wiem skąd ty masz te informacje, ja nie wiem co ty czytasz, ale czy tobie zdarza się czytać „Trybunę Ludu”? Czy Tobie zdarza się oglądać Dziennik Telewizyjny?”. „Tak, oczywiście i Trybuna, i Dziennik, To nie ma żadnej sprawy”. „No to może byś nam opowiedział, co to pisano w „Trybunie Ludu”? A może, co w Dzienniku Telewizyjnym?”. I on mnie w sposób cudowny wyprowadził z tej całej hecy, no bo ja mogłem mówić: „Trybuna Ludu” donosiła, że... W Dzienniku Telewizyjnym powiedziano, że...”. I tak następna kwestia, następna kwestia, no i znowu, a w Dzienniku Telewizyjnym to mówiono tak, a tak. Czyli wykazałem się znajomością tematu, a odpowiedzialność za głupoty spadła na Dziennik Telewizyjny i „Trybunę Ludu”. No i dostałem tą tróję, a ja się dziwiłem, bo miałem Siennickiego za... To był oficer Wojska Polskiego, Narodowego Wojska Polskiego. Miałem go za takiego właśnie, jakiegoś tam komucha. Jakies mieliśmy przygody, przygody sympatyczne między nami w trakcie szkoły. To był człowiek gwałtowny bardzo. W związku z tym też mi się zdarzało dostać od niego po mordzie. No proszę bardzo, teraz muszę uważać co mówię, bo zaraz moja pani powie: „nieprawdę mówisz”. O, pokiwała głową, schowała się w szafie i z tej szafy będzie nam tutaj przekazywać. No w każdym bądź razie, jego miałem za czerwonego, po prostu czerwonego oficera, który uczy wychowania obronnego. Spotkaliśmy się na zjeździe technikum i Siennicki opowiedział mi swoją historię. On był wywieziony jako jeszcze młodociany człowiek, spod Ostrowi Mazowieckiej do Sojuza. Nie

załapał się do Andersa, był za młody. Załapał się już do armii Berlinga, ale z uwagi na wiek, bo on wtedy miał 17 lat, nie chcieli go na front wysłać. Wystali go do szkoły oficerskiej, został oficerem Ludowego Wojska Polskiego. I tak wkroczył do Polski. I mówił: „wiesz, ja w tym wojsku byłem tylko tyle, ile to było konieczne. A później to uciekłem, dlatego uczyć wychowania obronnego. No uczyłem, no bo nie chciałem być w wojsku, nie chciałem być oficerem”. To rozumiałem. Siennicki mnie uratował, tą moją maturę uratował. Maturę dostałem, poszedłem do pracy. No właśnie, no musimy jednak się przygotować na to, że skończymy wieczorem. Nic nie jest proste. Ojciec dostał wiadomość, że jest miejsce pracy w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu na Hożej w Warszawie. Ja napisałem jakieś tam podanie, tak to się chyba nazywało. No i zostałem zaproszony na rozmowę przez kierownika Katedry Jądra Atomowego, profesora Zdzisława Wilhelmię. Przyleciałem z tym moim pożałuj Boże dyplomem, na którym żeby historia została historią były same trójki, prawie że. Nieraz jakaś czwórka się znalazła, ale tak niespecjalnie to wysoko wyglądało. Podałem ten mój dyplom, tę moją maturę temu Wilhelmiemu. Wziął, spojrzał się na to, odsunął tak jakby to jakiś śmieć był, Mówi: „no ja mam do pana w zasadzie tylko jedno pytanie. Czy jest pan członkiem partii?”. Myślę: „alem się wpierdzielił. Następny komuch, nie?”. Mówię: „no nie, nie jestem członkiem partii”. „Czy jest pan członkiem organizacji młodzieżowej?”. Tutaj forma, której użył, już coś mówiła. Nie powiedział ZMS-u, nic takiego. Mówię: „no nie, nie jestem członkiem organizacji”. „Czy ktoś z najbliższej rodziny jest członkiem partii?”. „No i według mojej wiadomości nie”. „No to ja pana przyjmuję”, powiedział Wilhelmi. No i zostałem przyjęty. Opowiedziałem o tym ojcu. Ojciec mówi: „Wilhelmi, no przecież, on jest łomży, on był moim szefem w podziemiu”. Ale ojciec miał talent do znajomych, nieznajomych. Nieraz widział kogoś w telewizji, mówił: „a to na pewno ten, albo to na pewno ta”. Ja mu tak wierzyłem, jak wierzyłem. Pracowałem tam dla tego Wilhelmię. Tam od czasu do czasu urządził jakieś tam sobie... Jakieś święta, popijawy, z tej czy z innej popijawy. To nie było picie, ale po jakimś kieliszku dwa, trzy wódeczki czy czegoś tam. I jak on sobie tak ze dwa, trzy kieliszki wypił, to wracał do jakichś takich wspomnień właśnie wojennych, partyzanckich, ale nigdy nie mówił gdzie to było, co to było tak dokładnie, uciekał później z tego tematu i to zaczęło mnie to przekonywać, że chyba ojciec jednak ma rację. No ale przecież nie będę Wilhelmię teraz prześladował jego przeszłością. I zostawiłem to sobie aż na moment, kiedy wiedziałem, że ja już do Instytutu nie wrócę. Nie wrócę do fizyki, to już koniec. To właśnie ten warsztat budowałem. Wtedy poprosiłem o spotkanie z profesorem Wilhelmiem. Przyjął mnie. „Chciałem panu podziękować...” te wszystkie formułki, które się wygłasza. „No i ja miałem o panu zawsze bardzo dobrą opinię”, mówi profesor Wilhelmi. „Dziękuję panie profesorze. Ja też od panu miałem zawsze bardzo dobrą opinię”. No to on się zjeżył, jak jakiś tam techniczny będzie opiniował pracę profesora z fizyki jądrowej, który w ramach ONZ-u był odpowiedzialny za składowanie odpadków radioaktywnych w skali ziemskiej. Ja mówię: „wie pan, pańską pracę naukową jestem w stanie ocenić może w 5%, nie więcej, ale ja mam o panu bardzo dobrą opinię z przeszłości”. I on się biedny zrobił błąd, bledziusięki. „Jak to? Co to znaczy?”. „No wie pan sami moi. Pan prowadził wywiad u majora „Bruzdy”. „A skąd Pan to wie?”. „Jeszcze raz Panu mówię, sami moi, mój tata był pańskim podwładnym”. „Tak, a pseudonim?”. „Rawicz”. No i to już wtedy mu zaskoczyło. I się mnie pyta, co się stało z majorem „Bruzdą”. Więc mówię „54 rok, Przemyśl to, co już tu opowiadałem. I Wilhelmi głową pokiwał. Mówi: „widzi pan, panie Januszu, to mi jest wstyd. Bo ja nie wiem, co się stało z moim szefem, nie wiedziałem do dzisiaj. A moje dzieci to w ogóle nic nie wiedzą”. „Panie profesorze, jest to kupa czasu. To jeszcze można sobie wyprostować będzie”. To był ten Wilhelmi. I gdyby od niego zależała moja dalsza kariera, jak już byłem we Francji, wysłałem pismo, pismo, no, list do CERN-u, tam pod Genewą. Gdyby to od Wilhelmię zależało, bo opinię jaką dostałem od niego, to powinienem już tam robić, ale po prostu ja byłem na to za głupi, choćby językowo. Źle to zro-

biłem, w złym momencie. Tak było z Wilhelmem, później jak przyszła wolna Polska, to on z moim ojcem się prowadził za rączkę, znowu się odzyskali. Później się pokłócili, bo ojciec stwierdził, że ktoś był zdrajcą, Wilhelmi stwierdził, że wręcz przeciwnie, to był bohater. No i tak się pokłócili, że do końca swoich dni nie rozmawiali. Wilhelmi umarł w wieku 94 lat w pracy. Pracował jeszcze mając te 94 lata. Znaczący miał emeryturę, ale on do na tę Hożę przyjeżdżał. To było jego miejsce. Musieli zainstalować windę, żeby on mógł wjechać do swojego gabinetu. No i pracował, próbował oceniać, próbował doradzać. A tak naprawdę był jakąś taką świętością, takim talizmanem tej Hożej. No i pojechał na Kongres Fizyków do Stanów Zjednoczonych. W czasie tego Kongresu umarł. To umarł w pracy w końcu jednak. O i to taka była dla mnie Hoża. Początek Hożej przynajmniej. W 1969 roku tutaj w Otwocku wspólnie z dwoma współnikami, czyli moim kolegą Zbigniewem Ostrowskim. I drugim moim kolegą Przemkiem Kociszewskim, żeśmy obsmarowali przed 1 majem plakaty pierwszomajowe. Tam wypisując wtedy flamastrem, wypisując jakieś obrzydliwe hasła. To było też przed wyborami? My żeśmy to zrobili dwa razy, bo był 1 maja i później w czerwcu były wybory. Tam była różnica, nie wiem, 6 tygodni chyba między jednym a drugim, może 5, wszystko jedno. My żeśmy najpierw te plakaty 1 majowe. Ładnie poszło, tam żeśmy przylecieli się po tym mieście, powypisywaliśmy. Wydawało nam się, że nic się nie stało, pościgu żadnego nie ma za nami. No to sobie jedziemy dalej. Tym razem żeśmy się oprzyrządzowali technicznie. Ja dziabnąłem z roboty na Hożej takie stempelki, co teraz dzieci mają, żeby tam to się z tego składało słowa, zdania. No i tymi stempelkami żeśmy tam na karteluchach tam stemplowali te obrzydliwe hasła, tym razem wyborcze. Nie wiedziałem, że już po tym 1 maja jednak bezpieka się rzuciła w sposób straszny na to, na te głupie napisy. No i tu przyjechała ekipa z Komendy Wojewódzkiej z Warszawy, z Okrzei. Założyli 7 posterunków obserwacyjnych w tymże mieście, w tym Otwocku. No powiedzmy na tych trasach, na których powinniśmy się poruszać, no tam gdzie te plakaty, gdzie to tamte. 6 było normalnych, bo to w Teatrze Jaracza siedział za szybą jakiś klient i patrzył, kiedy ci wrogowie będą kroczyć. 6 było w pomieszczeniach zamkniętych, więc daj Panie Boże. Ale jeden z tych punktów był przy tym parku w Otwocku i tam dwóch nieszczęśników w tych krzakach tam leżało całą noc, żeby schwycić tych zbrodniarzy, czyli nas.